Cena 18 fen. = 13 cent.

Nr. 4. Rok X.

ŚWIATŁO

Pismo ilustrowane dla rodzin polskich.

Nauka

Ś. Jadwiga.

Ś. Jacek.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „KATOLIKA" Bytom

Gaillard.

 **Baczność!** 

Często piszą się polskie listy na papierze, na którym jest nagłówek z **niemieckim obrazkiem lub napisem.** A gdy się komu na to uwagę zwróciło, tedy odpowiadał, że papieru listowego **z polskimi napisami dostać nie mógł.** Aby temu zapobiedz, postarała się nasza drukarnia o stósowne nagłówki i napisy i poleca

Papier listowy i koperty

po takich samych cenach, jakie w składach za niemieckie płacić trzeba, z ładnymi nagłówkami i **polskimi napisami** (jak: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Szczęść Boże, Bóg z Tobą, Serdeczne pozdrowienie, Witam Was)* po następujących cenach:

5	arkuszy listowego papieru i	5	kopert w tece za	10 fen.,	z przesyłką	15 fen.
10	» »	10	» »	20 »	»	30 »
25	» »	25	» »	40 »	»	50 »

Należytość uprasza się przesyłać naprzód pod adresem: **Wydawnictwo „Katolika" w Bytomiu** (Beuthen O.-S.)

„KATOLIK" kalendarz dla wszystkich
na rok przestępny 1896

już wyszedł. Zawiera wszystko, co kalendarz w sobie mieścić powinien, oprócz tego bardzo liczne obrazki, powieści i pouczające wykłady. Treść jego następująca: Zdrowaś Marya. (Zajmujące objaśnienie modlitwy „Zdrowaś Marya"). Żołnierz i sierota (wiersz). Poczciwi ludzie. (Opowiadanie). Wojciech Głowacki, bohater z pod Racławic (jego żywot). Wyprawa po skarby w słynnych górach polskich. Piwnice krzysztoforskie (wiersz). O św. Wojciechu (z podobizną katedry w Gnieźnie). Nieszczęsne pantofle (zabawne opowiadanie). Spojrzyj na krzyż (wiersz). Nowy dzwonek (legenda ludowa). Przedstawienie pasyi czyli męki Pańskiej w Rybniku, (z 6 obrazkami). Z życia św. Antoniego Padewskiego. Przygody tłustego, który chciał schudnąć (zabawne zdarzenie z 9 obrazkami). Z dawnych czasów i z innego świata (pouczający wykład o życiu). Zbiór uciesznych obrazków. Praktyczne rady. Nadto zawiera dwa bezpłatne dodatki: 1) **prześliczny kolorowy obraz** i 2) **kalendarz ścienny.**

Cena 50 fenygów, z przesyłką **60 fen.**

Przy odbiorze 10 egzemplarzy udzielamy 11-ty bezpłatnie i franko przesyłkę.

Wydawnictwo „Katolika" w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Znaczne zniżenie ceny!

Żywot Pana i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa i Boga Rodzicy Dziewicy Maryi

w 23 zeszytach i ozdobiony 135 rycinami.

Zeszyt pojedyńczy kosztuje tylko ***40 fen.*** *(dawniej 50 fen.) —* ***Okładki*** *do dzieła tego nabyć można po 1.50, 1.75 i 2 marki.*

Kto kupi razem 23 zeszyty wprost z Ekspedycyi „Katolika" *płaci zamiast 11 mk. tylko* ***8 marek.***

Zamiejscowi muszą nadesłać należytość naprzód, oprócz tego na frankowanie dołączyć 25 fen., a jeżeli więcej niż 10 mil, 50 fen.

Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika", Bytom (Beuthen O.-S.)



Rok X. — Bytom G.-Szl., 15-go Lutego 1896. — **Nr. 4.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Pan Wojciech chciał coś odpowiedzieć, lecz w tem przysunął się pan Marek i rzekł uroczyście:

— Przyjmij, przezacny panie i moje dzięki, boć synowa twoja jest prawie moją siostrą; radość to dla mnie wielka, że ją za córkę przyjmujesz i ś. p. siostra moja Elżbieta cieszy się tam pewno w niebie także, żeś nie wzgardził jej wychowanką, którą ona kochała, jakby właśnie rodzoną. A kiedy miłościwie wysłuchałeś prośby jednej, tedy wysłuchaj i drugiej, równie gorącej, równie serdecznej jak pierwsza. Przyjąłeś siostrę moją za córkę, przyjmij-że mnie za syna!... Wiem, żem niegodzien skarbu, po który sięgam... ale całe życie będę się starał, choć trochę zasłużyć na życzliwość twej córki, o której rękę gorąco błagam, panie!

Wielka radość zajaśniała w oczach starego rycerza, lecz ją natychmiast przytłumił i rzekł poważnie:

— Spokojnie powierzyłbym ci, panie Marku, przyszłość mej jedynaczki, bo to szczerze wyznaję, że kocham cię jak syna. Wszelako godzi się nam zapytać, czy córce mej po myśli twoja prośba.

Śliczny panicz zgiął kolano przed śliczną panienką i biorąc jej drobną rączkę, rzekł:

— Nie odpychaj waćpanna mej serdecznej prośby, a ja ci przysięgam, że uczynię cię szczęśliwą!

Bożena była bliską zemdlenia; kochała ona z całego serca pana Marka, lecz wiedziała, że on kochał Ludkę; nie pojmowała, co go skłoniło do prośby o jej rękę, ale cokolwiekbądź to było, czyż godziło się na pierwsze jego słowo, oddawać mu siebie? Jednę dłoń trzymał piękny panicz, drugą chwyciła się nieboga poręczy krzesła, i wahała się chwilę. Lecz radość bijącą z twarzy ojca, której zupełnie przytłumić nie zdołał, błagalne spojrzenia Adama i Ludmiły, promieniejący jakiemś dziwnem światłem wzrok Gabryela, który ją przenikał, szczerość drgająca w głosie Marka, przechylały szalę na jego stronę.

— Święte mi było zawsze każde życzenie pana ojca mego — szepnęła Bożena — przeto i dziś woli jego opierać się nie będę.

Pan Siekierzyński ucałował białą rączkę wybranej, a następnie wraz z nią padł u kolan pana Wojciecha i obydwie młode pary zawołały razem:

— Błogosław nam, panie ojcze! Błogosław na wspólną dolę!

Starzec wzniósł oczy do nieba, ręce wyciągnął nad głowami oblubieńców i rzekł uroczyście:

— Błogosławię wam w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Niechaj łaska i błogosławieństwo Boże będą zawsze z wami, dzieci moje!

Wtem oczy wszystkich zwróciły się na Hołubka. Siedział w krześle wyprostowany, z głową lekko w tył przechyloną, oczy szeroko otwarte wpatrywały się gdzieś daleko, jakby w inne światy, twarz piękna pięknością wewnętrzną ducha, jaśniała tym nieziemskiem blaskiem i szczęściem, jakie daje zupełne zapomnienie o sobie, ofiara z najgorętszych pragnień, na ołtarzu miłości Boga i bliźniego złożona, z ust zaś popłynął głos niezwykle słodki, wdzięczny a silny:

— Łaska, błogosławieństwo Boże i szczęście będą zawsze z wami, dopóki miłość, jedność i zgoda będą was łączyły! Pamiętajcie więc sami, uczcie dzieci i wnuki wasze, że szczęście rodzin i narodów opiera się na bojaźni Bożej, zgodzie i miłości! Pamiętajcie, że waszem hasłem ma być: zgoda, jedność i miłość! Potężną jest dziś ta droga matka, miła Ojczyzna nasza, korzą się przed nią wrogowie! Ale wielkość jej nie ostoi się, gdy nie będzie w narodzie zgody i miłości! Biada ci, Polsko, gdy zgody i miłości braknie synom twoim! Wtedy o nieszczęśliwa, a ukochana nad wszystko Ojczyzno moja, stanie się to, co przepowiadają nabożni kaznodzieje i cnotliwi mężowie nasi: Pójdziesz w niewolę do sług twoich... barbarzyńca północy, zdeptany dziś stopą wielkiego Stefana, podniesie głowę i znęcać się będzie nad dziatkami twojemi, wydzierając im wiarę św. i do krwi katując za to, że nie zechcą zdradzić Boga swego i wyprzeć się matki... Wyganiać będą tysiącami dzieci twoje z ziemi rodzinnej, odmówią im praw wszelkich, a urągowiskiem odpowiedzą na ich domaganie się sprawiedliwości!... Lecz nie poddawajcie się zwątpieniu i rozpaczy! Boga macie Ojcem w niebie, a Matkę, Kościół św. na ziemi; kochajcie Boga, słuchajcie Kościoła, nie wierzcie zwodzicielom, którzy was pokłócić z sobą będą chcieli, a najsroższą niedolę przetrwacie i zwyciężycie! Bo zwycięstwo wasze w cnocie, posłuszeństwie, pracy, zgodzie, jedności i miłości wszystkich stanów!... Ojczyzno moja, nad wszystko ukochana na ziemi! Jakież szczęście ci służyć, jakaż rozkosz przelać krew i życie oddać dla ciebie! Niech ci Bóg błogosławi, niech ci da szczęście i ostateczne zwycięstwo nad złością tego świata! Niech cię osłania i sławy ci pomnoży tobie i cnotliwym synom twoim!

Tu umilkł Gabryel, powieki przysłoniły mu nieco oczy, głowa pochyliła się na piersi, a z twarzy schodziły wolno one nadziemskie blaski, jakiemi podczas mówienia jaśniało piękne oblicze szlachetnego młodzieńca. Lecz wszyscy obecni w komnacie stali dotąd nieporuszeni, pod wrażeniem słów ostatnich, wpatrując się w niego i słuchając czy znowu głosu nie podniesie.

Pierwszy opamiętał się pan Zamojski; zbliżył się do Hołubka, zamknął mu oczy i rzekł poważnie głosem, w którym drgały łzy:

— Odszedł już! Za szlachetny i za wielki on był na naszą mizerną ziemię! Oddał życie za ziemską Ojczyznę, a w nagrodę otrzymał Ojczyznę niebieską. Niechże spokój będzie jego pięknej duszy, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki!

Mówiąc to wielki hetman, pocałował czoło zmarłego bohatera, a dwie duże łzy spadły na jego głowę; następnie klęknął obok krzesła i przeżegnał się nabożnie, inni poszli za tym przykładem.

Ludmiła słuchała ostatnich słów Gabryela i kanclerza jak nieprzytomna, nie

wiedząc, co się w około niej dzieje; teraz dopiero zrozumiała wszystko, więc z okrzykiem niewysłowionej rozpaczy, która dreszczem przejęła serca przytomnych, rzuciła się na martwe zwłoki ukochanego brata.

X.

Trzy lata minęły od śmierci przesławnego Gabryela Hołubka, który rekognoskując otoczenie Byczyny, otrzymał śmiertelną ranę i z niej umarł. Zwycięstwo odniesione tam wtedy przez Zamojskiego i wzięcie do niewoli Maksymiliana położyło koniec wojnie domowej, spokój zapanował w kraju, Zygmunt został przez wszystkich prawowitym królem polskim uznany.

Arcyksiążę przesiedział w niewoli kilkanaście miesięcy, dopóki nie stanął pokój z cesarzem w Starzynie, leżącym pomiędzy Będzinem a Bytomiem na Szląsku.

W owych czasach, gdy kto chciał się wydostać z niewoli, musiał składać wielki okup, tak naprzykład król francuski Franciszek I, wychodząc właśnie w tym czasie z niewoli austryackiej, zapłacił wielką sumę okupu. Natomiast Polacy, jako naród odznaczający się zawsze szlachetnością i bezinteresownością, wypuścili Maksymiliana za proste zrzeczenie się tronu i różnych innych pretensyi; zawarto nawet z Austryą pokój wieczysty i nastąpiła zgoda.

Arcyksięciu zresztą wcale dobrze było w niewoli; pozostawiono mu wszelką swobodę, z której nawet chciał skorzystać i uciec z Krasnego-Stawu; spisek już był ułożony, Maksymilian miał się spuścić po sznurze z muru i dosiadłszy czekającego nań konia, ujść za granicę. Ale spisek przypadkiem odkryto, przeszkodzono mu i odtąd troskliwiej pilnowano dostojnego więźnia. Zresztą obchodzono się z nim z największem uszanowaniem, oddawano mu powinne monarsze honory. Król Zygmunt posłał najpierw biskupa Maciejowskiego z pocieszeniem do arcyksięcia, a później sam go odwiedził, jakby najmilszego sąsiada, obsypując na każdym kroku grzecznościami i szczególnymi względami; odjeżdżając zaś zostawił arcyksięciu nadzwyczaj kosztowny, wspaniały pojazd i czternaście koni: ośm białych, farbowanych żółto, cztery tureckie dzianety i dwa jednochodniki.

Widzimy z tego, jakim to ludzkim, obyczajnym i szlachetnym narodem byli Polacy, kiedy już przed trzysta laty tak pięknie obchodzić się umieli z więźniami. Doprawdy! Niejeden, co to nam zarzuca brak oświaty i cywilizacyi, mógłby śmiało jeszcze dziś uczyć się jej od naszych przodków!

Skoro tedy pokój nastał w Polsce, król, kanclerz i sejmy zajęli się wewnętrznemi sprawami państwa; mianowicie wielki hetman zbawienne przedkładał sejmom projekta i ustawy, lecz niestety nie wszystkie przyjęto, lub też uchwaliwszy nie wykonano; zajęto się przecież naprawą prawodawstwa, uchwalono podatki na wojnę, urządzono kozaków itd. Zamojski pracował jak mógł i rozumiał dla dobra kraju i młody król chciał szczęścia Ojczyzny, ale pomiędzy nim a kanclerzem panował pewien przymus i zimno; nie szli oni już tak ręka w rękę, jakto ze Zamojskiem chodził Stefan Batory, nie mogło jakoś przyjść pomiędzy nimi do porozumienia i zaufania. Mimo to wielki hetman, jak przystało na zacnego człowieka i obywatela, pełnił sumiennie swoje obowiązki, a Zygmunt poczuwając się do wdzięczności za tyle przysług oddanych sobie i krajowi, nagrodził Zamojskiego dwoma starostwami. I o innych bohaterach z pod Byczyny nie zapomniano: pomiędzy wielu innymi Żółkiewski, który bitwę doradzał i został w niej ranny otrzymał buławę polną koronną, to jest, został polnym hetmanem; pan Adam Wisłocki mianowany był starostą, dla Hołubka przeznaczył król w dożywocie kilka folwarków, które po bracie otrzymała Ludmiła, a nadto dostała ona od królowej Anny tak wspaniałą wyprawę, że niejedna senatorska córka takiej nie miała.

Pana Wojciecha cieszyły niezmiernie powszechnie głoszone zasługi syna i jeszcze głośniejsze bohaterskie czyny brata

synowej, to też rozwiane na chwilę małżeństwem Adama z Ludką słodkie marzenia ujrzenia swego domu w dawnej świetności, odżyły na nowo w sercu starego rycerza.

Pewnego popołudnia w Maju roku 1591, w sadzie w Wisłocku, pod rozłożystą jabłonią, okrytą bujnem bladoróżowem kwieciem, siedziała pani Adamowa, wyszywając złotą nitką, na białym atłasie, przecudne wzory; obok niej siedziała Bożena i w zamyśleniu bawiła się delikatnymi listeczkami, którymi obsypywał ją całą każdy silniejszy podmuch wiatru, strząsający z drzew kwiecie; nieco opodal biegał po trawie trzyletni może chłopaczek, goniąc ze śmiechem motyle i pszczółki; pomiędzy gałęziami zaś olbrzymiej jabłoni, wisiał na kolorowych sznurach biały ozdobny koszyk, z którego wśród puchów uśmiechała się twarzyczka półrocznego dziecka; koszykiem poruszała wolno matka Maryśki, przyglądając się bacznie wszystkim poruszeniom maleństwa.

Twarz Ludmiły wyrażała powagę, ciche szczęście i zadowolenie; ale ilekroć oczy jej oderwane od haftu biegły za chłopczykiem, skaczącym po trawnikach, lub zwracały się na niemowlę, bujane w koszyku, wzrok młodej kobiety przypominał dawniejszą ognistą Ludkę, tak silnym jaśniał blaskiem i macierzyńską dumą. Ale bo też obydwie te jej dzieciny śliczne były: starszy, Gabryel Adam, z bujnymi, kasztanowatymi lokami i wielkiemi, piwnemi oczyma, rosły i tęgi nad wiek swój, a z twarzyczką cherubina, żywym był portretem matki i nieboszczyka, sławnej pamięci wuja Gabryela. Drugi, w koszyczku jeszcze mieszkający malec, imieniem Wojciech Adam, miał oczęta siwe, włoski srebrzysto-popielate, więc nietrudno było odgadnąć już dziś, że ojcu będzie podobny, a może i cioci Bożenie.

Śliczna ta ciocia także się nieco zmieniła; cudna wprawdzie była jak dawniej, lecz jeżeli zawsze robiła wrażenie nieziemskiej istoty, to teraz patrząc na nią, można się było obawiać, że nawet majowy wietrzyk rozwieje ją we mgle. I podczas, gdy oczy Ludmiły uśmiechały się i jaśniały raz po raz, źrenice Bożeny zapatrzone były smutnie wdal nieskończoną, ale zdawały się nic nie widzieć.

Natomiast przed oczyma duszy zadumanej panienki, jawiły się śliczne uszyckie jary, których wprawdzie w rzeczywistości nie widziała nigdy, ale o których bratowa cuda jej opowiadała; czasem znowu mignęła na koniu wspaniała postać pięknego rycerza, który uganiał się po stepach, ale konia nie zwracał ku zachodowi, lecz leciał na Dzikie pola, goniąc uciekającego Tatara.

Bożena bowiem, mimo prośby pana Marka, nie oddała mu zaraz ręki. Wiedziała ona jak piękny panicz był do niedawna rozmiłowany w Ludce, więc lubo nie miała siły odmówić mu zupełnie, znaglona tak skłonnością własnego serca, jak i błagającemi spojrzeniami ukochanych, a mianowicie widoczną radością ojca, to przecież oddając całe, wielką i szlachetną miłością kochające serce, pragnęła także przywiązania; bała się też, aby pan Marek nie żałował później swego nagłego kroku, uczynionego widocznie pod jakiemś silnem wrażeniem, a nadto nie miała serca opuszczać natychmiast rozbolałej Ludmiły, która z żalu po stracie brata prawie o świecie nie wiedziała.

Kiedy więc po pogrzebie Hołubka, pan Siekierzyński odprowadziwszy do Wisłocka rodzinę starego rycerza, wspomniał Bożenie o ślubie, panienka odpowiedziała bardzo poważnie w te słowa:

— Przyrzeczenia danego waćpanu nie cofam, ale tak myślę, że dobrze będzie, gdy waszmość wypróbujesz własne serce,.. abyś zaś później, gdy już będzie po czasie, nie spostrzegł, iżeś się pomylił... Jać oddając rękę, oddam i całe serce... przeto będę wyglądać takiej samej ofiary. Przytem, jam teraz potrzebna mojej nieszczęśliwej bratowej; jej serce pęka z żalu... jakże mnie tu, wobec takiej boleści oddawać się szczęściu? I waćpan byś tego nie potrafił! Jedź-że tedy z Bogiem do domu;... a jeżeli po trzech latach rozłąki wrócisz

tu i powtórzysz swoje żądanie, wahać się więcej nie będę... Wszelako przez cały ten czas masz się waszmość pan uważać za zupełnie wolnego... a wrócić tylko z dobrej, nieprzymuszanej woli.

Pan Marek prosił gorąco, aby czas próby, jeźli już poddać jej się musi, był krótszy, ale Bożena obstawała przy swojem postanowieniu, mówiąc: że woli dłużej na szczęście poczekać, a mieć je prawdziwe i używać go bez obawy. Przy pożegnaniu tylko rzekła wzruszonym głosem:

— Niech łaska Boża strzeże waćpana na każdym kroku! Ja będę czekała cierpliwie... i do śmierci wiary ci dochowam.

Odjechał tedy pan Marek, nie nalegając więcej, bo w duszy przyznał słuszność Bożenie; sam czuł, że nie mogła ufać tak nagle powziętemu postanowieniu, i myślał, że rzeczywiście lepiej będzie, gdy sam swego serca doświadczy. A i to sobie powiedział, że przy smutku, jaki panował w Wisłocku, trudno było wyprawiać wesele.

Pan Wojciech dziwił się tak długiej zwłoce, ale, że córkę kochał niezmiernie, rad ją miał w domu i nie umiał się opierać jej prośbie; widział też, że obecnie Ludmiła nie mogła zastąpić Bożeny, gdyż sama potrzebowała troskliwej opieki.

Po roku jednak pan Siekierzyński napisał list, błagając, aby czas próby został skrócony; pisał, że teraz dopiero, zdala od Wisłocka, poznał doskonale, jaki to wpływ zbawienny, uzdrawiający wywierały na jego gwałtowną naturę łagodność i słodycz Bożeny; dalej twierdził, że bez jej obecności, trudno mu wyżyć na nowej drodze, że stare nawyknienie ciągnie go znowu w ów wir szkodliwy, w którym spędził pierwszą młodość, zwłaszcza, że pokusy nie braknie, bo panowie Zborowscy, upadający coraz więcej, nie przestają go wzywać i wzywać, aby wrócił do ich stronnictwa.

Stary rycerz wstawiał się za swym ulubieńcem, lecz dzielne, lubo ciche dziewczę umiało się oprzeć tak namowom ojca jak i pragnieniu własnego serca, które wyrywało się do ukochanego.

Po roku znowu przyszedł list drugi, jeszcze gorętszy, jeszcze serdeczniej błagający; ale i teraz powiedziała sobie Bożena:

— Wytrwam w mojem postanowieniu... zniosę obawę, niepokój, tęsknotę, bo tak trzeba dla naszego wspólnego szczęścia i spokoju. Jeżeli wróci po tak długim czasie, tedy będę wiedziała, że mnie istotnie kocha i wytrwa w tej miłości.

Ojca zaś tak umiała przekonać, że



Dr. Röntgen. (Obacz artykuł na str. 58).

pozostawił jej zupełną wolę; więc biedny pan Marek czekał rok trzeci. Pod koniec tego roku przyszedł list z nad Dniestru, ale pisany ręką panny Anny Wisłockiej; stara panna donosiła pomiędzy innemi, że zdarzył się niedawno znaczniejszy napad Tatarów, lecz pan Siekierzyński odparł go skutecznie, ale sam został ciężko ranny i bodaj do zdrowia wróci.

Biedne serce Bożeny zamierało z bólu, ale pobożna panienka, poleciwszy swoją sprawę Bogu, cierpliwie czekała, co jej Ojciec niebieski zeszle; w sumieniu zaś czuła spokój i tę pewność, że dobrze zrobiła, nie godząc się

na natychmiastowe poślubienie młodzieńca, który tak niedawno jeszcze kochał inną kobietę.

W kilka tygodni po pierwszym liście, napisała ciotka Anna drugi, a w nim donosiła, że pan Marek zdrowszy i z pewnością żyć będzie. Od tego listu upłynęły już trzy miesiące, a żadna wieść nie nadchodziła ze wschodnich kresów. Bożena stawała się z każdym dniem bledszą i smutniejszą, aż ojciec, Adam i Ludka zaczęli się o nię niepokoić. Rotmistrz napisał nawet do ciotki Anny, lecz odpowiedzi jak nie było tak nie było.

Pani Adamowa wynajdywała dla Bożeny różne rozrywki i zajęcia, wyciągała ją na dalekie przechadzki, prowadziła do gospodarstwa i ogrodu, ale to wszystko nie rozweselało zasmuconej panienki.

Teraz widząc ją tak zapatrzoną przed siebie, zwróciła jej Ludka uwagę na małego Gabrysia, który najlepiej i jeszcze najprędzej umiał rozweselić ciocię.

— Patrz-no, Bożenko — mówiła Ludmiła — na tego robaczka, jakie to niezmordowane! Od dwóch godzin biega bez chwili spoczynku; nie wiem doprawdy, jak mu już starczą te małe nóżyny!

Panna Wisłocka z uśmiechem zwróciła oczy na swego ulubieńca, który wydawszy radosny okrzyk, począł biedz pędem ku fosie, oddzielającej sad od dworca.

— Oho! Już tam kogoś zobaczył! najpewniej tatusia, albo Semena — zaśmiała się Bożena.

Jakoż niebawem ukazał się rzeczywiście Semen pomiędzy drzewami. Nie zabawiał się jednak Gabrysiem, ale chwyciwszy go na ręce, szedł spiesznie pod jabłoń; twarz starego sługi promieniała taką radością, że to zwróciło uwagę obydwóch kobiet; nim do nich doszedł, już zaczął mówić z daleka:

— Oto wesoła nowina! Bóg zdarzył gości, bardzo zacnych gości! I z daleka, z bardzo daleka!

Serce Bożeny uderzyło, jak młotem, Ludka powstała szybko, pytając:

— Kto przyjechał! Mów waść prędko!

— Jegomość, pan Marek Siekierzyński... i nie sam, nie sam...

Panna Wisłocka podniosła się także, ale natychmiast osunęła się znowu na ławę; lecz Ludmiła wzięła ją pod rękę i pospieszyła ku domowi, skinąwszy na wdowę, aby i ona szła z dziećmi. Zbliżyły się właśnie nad tosę, gdy ścieżką od zamku nadszedł Adam z panem Markiem; twarz młodzieńca nosiła ślady przebytej niedawno choroby, ale w tej chwili rozpromieniona była radością i szczęściem. Szybko posunął się do nadchodzących pań, Ludkę powitał bardzo serdecznie, ale z wielkiem uszanowaniem, patrząc jej spokojnie i poważnie w oczy, następnie chwycił ręce Bożeny, a przyciskając je do ust, mówił gorąco:

— Królowo moja! długa i ciężka była próba, ale przecie Bóg pozwolił przetrwać wszystko... Teraz jużeś moja! Kiedy ślub?

Panienka uśmiechnęła się mimo woli na taką ochotę do ślubu, lecz odrzekła zaraz poważnie:

— Dotąd waćpan słuchałeś mej woli, od dziś ja będę słuchała... I już na zawsze...

— O, mój skarbie najdroższy! I pozwolisz waćpanna, aby ślub był zaraz?

Kiedy waszmość pan zechcesz...

— Bóg-ci zapłać! moja ty duszo najmilsza!... Żebyś waćpanna wiedziała, jakom tęsknił za Wisłockiem, jak mi brakło tej twojej słodyczy i dobroci, które jak balsam goiły duszę moją i godziły mię ze światem, samabyś się użaliła! Aleć dziękować Panu Bogu, że już wszystko przeminęło. Ja zaś przekonałem się dowodnie, żeś ty dla mnie stworzona i przeznaczona... Pan Jezus najlepiej dobiera małżeństwa... lepiej niż najbardziej kochające siostry.

Bożena rumieniła się jak zorza, ale z radością słuchała tych słów gorących, bo tryskało z nich prawdziwe przywiązanie; już się nie potrzebowała teraz

obawiać dawniejszej skłonności pana Marka, czuła, że ani on ani ona nie doznają zawodu i rozczarowania.

Rozmawiając tak, doszli do zamku; Adam z żoną szedł nieco naprzód, więc Ludka wpadła pierwsza do domu i z okrzykiem radości rzuciła się na szyję pannie Annie Wisłockiej, a następnie pannie Agnieszce, gdyż obydwie staruszki przyjechały na wesele.

Od wielu lat nie wrzało takie życie i wesele w starym dworze, jakie teraz zapanowało. Na licach Bożeny zakwitły dawno nie widziane u niej rumieńce, a z każdego jej ruchu, słowa i spojrzenia tryskało niewypowiedziane szczęście; pan Wojciech nie posiadał się z radości, że ma znowu przy sobie swego ulubieńca, i że nareszcie połączy go z ukochaną jedynaczką; Adam cieszył się szczęściem siostry i przyszłego szwagra, a Ludka dopiero teraz pozbyła się wyrzutu sumienia, które jej ciągle szeptało, że źle się wypłaciła swej opiekunce i jej bratu za ich dobrodziejstwa, i bała się zawsze, aby jej Bóg nie pokarał za niewdzięczność.

Obok państwa cieszyli się i słudzy, a mianowicie zaś Semen i panna Agnieszka; przeżyli oni z sobą wiek życia w jednym domu, więc szczerze się lubili i szanowali staruszkowie; to też teraz po czteroletniem niewidzeniu się, mieli sobie bardzo wiele do opowiadania.

Panna Agnieszka prawiła, co tam słychać w Siekierzanach i na całem Podolu; szczególniej jednak rozwodziła się nad szczęśliwą zmianą usposobienia i postępowania pana Marka, odkąd zerwał z tymi hultajami Zborowskimi; mówiła, że nauczył się zaraz szanować wiek i zasługę, dla niej, panny Agnieszki był z przynależną czcią, a bardzo pięknie prosił, aby po staremu rządziła żeńską połową jego dworu, jako bywało za ś. p. pani Gorajskiej, i aby zamek przygotowała na przyjęcie młodej pani. Dalej opowiadała jak to dzielny, młody panicz gonił i trzepał Tatarstwo za dnia, a po nocach wzdychał za ukochaną i oczy na księżyc wywracał, gadając nawet czasami do niego.

Semen znowu mówił o Ludce, o panu Adamie, lecz nadewszystko o sławnym Gabryelu, którego pozostał gorącym wielbicielem. Panna Agnieszka słyszała wprawdzie od panny Anny Wisłockiej o dziwnych losach Ludmiły i o jej bohaterskim bracie, wszelako miło było starej pannie raz jeszcze usłyszeć wszystko od naocznego świadka. Zrazu miała staruszka trochę żalu do Semena, że tak pokryjomu, bez jej wiedzy, uwiódł Ludkę ze Siekierzan, ale stary zręcznie się tłómaczył, nic naturalnie nie wspominając, że się bał białogłowskiego, długiego języka, jak się to przyznał Kostkowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA SZARYM KOŃCU.

Kiedym u księcia pana na dworze
Za marszałkowskim siadywał stołem,
I jako biedak w obiedniej porze
Spożywał jadło ze służbą społem
Myślałem sobie łykając ślinę
I śledząc dania z chucią niezmierną:
Gdyby tak książę kiedy w gościnę
Zawezwał moją fizys mizerną!
Bo choć naprawdę chudopachołek,
Zawżdym herbowy i zwię się Płoniec,
Więc mi przystoi postawić stołek
Pomiędzy dworskich na szary koniec.

Gdym się tak z myślą uporał własną,
Książę pan rzeknie: »ono pacholę
Wyrosłe w męża, już mu tu ciasno,
Odtąd przy moim zasiędzie stole;
Jam zawdży chętny uwzględniać młodzież...
Mości marszałku weź tego chłopca,
Przystrój w chędogą i schludną odzież,
Niech mu cześć pańska nie będzie obca.«
Temi swą mowę zakończył słowy,
I wkrótce potem ja, Marek Płoniec,
Wylazłem z onej izby dworowej
Do stołu księcia na szary koniec.

Zrazu gdy skromnie na stołku siadłem,
Spuszczając oczy jako przystało,
A służba wniosła półmiski z jadłem
Aże mi w piersi serce zadrgało.
Oj galaż, gala! same frykasy:
Szczupak w szafranie, pasztet z indyka,
Drób, sarnia pieczeń, drozdy, bekasy,
Toć się specyałów człowiek nałyka!
Lecz nim hajduki obeszli gości,
Klnę wam na słowo, jak mnie zwą Płoniec,
Że z tej to wielkiej dań obfitości
Ledwie kęs doszedł na szary koniec.

Naprzód matrony i grono dziewic
Skonsumowały słodyczy nawał,
Bażanta porwał pan z Radoszowic,
A sąsiad z Rudki sarniny kawał;
Rezydent schrupał gąskę pieczoną,
Bigos i zrazy zjadł podstarości;
A gdy półmisek nam przyniesiono
Już tylko na nim sterczały kości.
I cóż mi z tego mój Boże,
Iżem jest szlachcic i zwę się Płoniec,
Gdy jak wilk głodny w obiedniej porze
Zajmuję szary u stołu koniec.

Oj dobrzeć ojciec przemawiał do mnie,
Gdym wlazł tam świetnym pragnąc iść torem:
Lepiej w swej chacie żyć sobie skromnie
Niźli się pańskim karmić faworem;[1])
Lepiej wśród ciężkich życia okazyj
Suchego chleba zjeść kromkę twardą,
Niż się nawąchać owych małmazyj[2]),
Co jeno mamią oskomą[3]) marną;
Bo choćbyś w tarczy miał barwę złotą,
Zwał się Żwan, Starża ba... nawet Płoniec,
Posadzą ciebie między hołotą
Sług i pachołków na szary koniec.

Takowym kształtem ludzie wszech stanów,
Gdy tylko los im dobodzie srogi,
Dufni w swe szczęście pną się do panów
I zamiatają magnackie progi;
Nie chcąc w kondycyi[4]) pozostać ciasnej,
Gardzą sojuszem[5]) rodziny bratnim,
Lecz ten co pierwszym był w chacie własnej
W pałacu zawżdy będzie ostatnim;
Więc też na owym niezbyt wesołym
Padole płaczu, nie jeden Płoniec
Miasto rość w pierze, za życia stołem
Szary wciąż jeno zajmuje koniec.

[1]) Łaska pańska.
[2]) Wino bardzo słodkie i mocne, rosnące na wyspach południowych.
[3]) Chętka.
[4]) Posada.
[5]) Łączność.

O długości życia ludzkiego.

(Dokończenie).

Szreński wojewoda Mazowiecki, zwany Gradem, urodzony w roku 1296, żył lat 140, jak to świadczy kamień grobowy w Szreńsku położony.

Wołowska mająca lat 128 mieszkając o pół mili od Krakowa, codzień z rana do miasta na mszę chodziła. W Krakowie umarł w r. 1724 starzec 127 lat liczący.

Librowski szlachcic w Krakowie umarł w r. 1830, licząc lat 126.

Stanisław Gil wieśniak z pod góry Śto-Krzyzkiej urodzony w r. 1696, zmarł w 1822, żył zatem 126 lat. Do końca życia tak się miał dobrze, że jeszcze na dwie godziny przed śmiercią pracował siekierką, gdy nagle zesłabłszy, kazał poprosić księdza i po otrzymaniu ŚŚ. Sakramentów, spokojnie zasnął snem wiecznym.

Majewski Symforyn szewc ze Starego Miasta Warszawy, żył lat 125, zmarł w r. 1828 i pochowany został na cmentarzu Powązkowskim, gdzie kamień położony świadczy o jego długiem życiu.

Sosnowski Piotr, znakomity malarz, rodem z ziemi Smoleńskiej, umarł w Moskwie w r. 1853, licząc lat 122. Na dwa lata przed śmiercią malował jeszcze bardzo pięknie i to bez okularów; ale też nie robił nigdy zbytków, jadał zawsze proste potrawy, przez całe życie nie pił ani wina, ani wódki, ani innych napojów rozpalających i tytoniu wcale nie palił.

Gołębiowski z Leszna w księstwie Poznańskiem, urodzony w r. 1740, który służył w wojsku francuzkiem i dosłużył się nawet krzyża legii honorowej, żył lat 121.

Stanisław Dobrzelewski, pod-

stoli Sieradzki, licząc lat 120, piechotą chodził do kościoła.

ski, dziedzic wsi Ponudzie żyli po 120 lat.



DO PRACY.

Kieleński pasterz bydła w Jeżowie w powiecie Rawskim i Głozow-

Swinecka we wsi Miechowej, w Bracławskiem żyła również 120 lat.

Nawrocki obywatel miasta Warszawy w r. 1807, gdy wyszedł przywitać Napoleona, cesarza Francuzów, liczył już lat 117.

Kasztelan Podoski w gubernii Kijowskiej, pani Dziedrowiczowa we wsi Pomuszy, w powiecie Poniewierskim, Antoni Gozdawski obywatel miasta Warszawy zmarły w r. 1823, Maryanna Garstka zmarła w roku 1821, Tabaczyński obywatel w Radziejowie, ojciec tamtejszego aptekarza zmarły w r. 1826 i szewc Hanerowicz żyli po 115 lat.

W r. 1832 w Luszkowie zmarł urzędnik miejscowej komory nazwiskiem Józef Gołuchowski, dawny żołnierz, urodzony jeszcze w r. 1720, a zatem żył lat 112.

W tymże samym roku życia młynarz w Binkowicach jedną ręką wstrzymywał w biegu koło młyńskie, a Wintoniak podoficer inwalidów polskich w Wolborzu zdrów zupełnie chodził na wartę.

Panna Strzelecka w powiecie Poniewierskim zmarła, licząc lat 112.

Paschalski, ojciec członka senatu, urodzony w okolicach Zamościa w roku 1745, obywatel wiejski, żył lat 107. Przez całe życie wstawał w lecie z rana o godzinie $3^1/_2$, a w zimie o $4^1/_2$, objeżdżał konno gospodarstwo i jeździł na polowanie jeszcze w 6 lat przed śmiercią; żył bardzo skromnie, rzadko też chorował i do śmierci czytał i pisał bez okularów.

Organista w Sierakowicach 107 lat mający, tak pięknie grał na organach, że z dalekich miejsc nawet umyślnie zbierano się, aby go usłyszeć. Jabłońska 107 lat także żyła w Jordanowicach, ta chodząc codziennie do kościoła, zawsze narzekała, że jest sierotą bez ojca i matki.

Mikołaj Radziwiłł wojewoda Wileński urodzony w r. 1366, ochrzcony w Krakowie razem z królem Władysławem Jagiełłą i ksiądz Bartłomiej Jan Hryncewicz, kanonik uczony w Wilnie, żyli po 104 lat.

Jarosław Bogorya Skotnicki arcyb. Gnieźnieński, żył również lat 103.

Czasem podobne długie życie jest dziedzicznem w pewnych rodzinach, i tak: Mieleszko, szlachcic Piński miał lat 100 blisko, matka jego 130, a babka 140; rodzina Chyżyckich w Lichnowicach odznaczała się długiem życiem przez kilka wieków, mało kto z jej członków liczył mniej nad 100.

Otóż podaliśmy kilkadziesiąt przykładów długowieczności, tak w innych krajach jak i u nas. Pan Bóg i dzisiaj wcale nie odmawia ludziom długiego życia, jeżeli na to swem postępowaniem zasługują. Należy jednak żyć uczciwie, rozsądnie, wstrzemięźliwie, a przy pracy spodziewać się można długiego życia i błogosławieństwa Bożego!

O promieniach dr. Röntgena.

Röntgen, profesor w Wyrcburgu, zrobił ważne odkrycie, które ludzkości może oddać wielkie usługi. Polega ono na niezmiernem udoskonaleniu sztuki fotograficznej. Profesorowi Röntgenowi udało się wynaleść nowy rodzaj promieni tajemniczych, które przenikają przez rozmaite przedmioty i pozostawiają ślady na płycie fotograficznej. Promienie słoneczne zatrzymają się na przedmiocie, na który padają i rzucają cień na zewnętrzną część jego. Promienie prof. Röntgena mają zaś tę właściwość, że przenikają przedmiot i uwydatniają na płycie fotograficznej mniej stronę zewnętrzną, ile jego stronę wewnętrzną.

Jak wygląda ten wynalazek? Przedstawić go sobie należy w sposób następujący: Szklanna rurka, w której obu końcach znajduje się stopiony drucik platynowy, mający służyć do połączenia z obu drutami prądu elektrycznego i która to rurka zawiera powietrze nadzwyczaj rozrzedzone, zaczyna błyszczeć w kolorach, skoro tylko nastąpi prąd elektryczny. Owe rurki wynalazł technik Geissler. Jeźli się w tych rurkach rozrzedzi powietrze do stopnia milionowej cząsteczki

atmosfery, znika wszelki blask światła mimo prądu elektrycznego i rurka staje się zupełnie ciemną. Światełko w niej jest tak słabe, tak nikłe, że wydaje się wprost niemożliwem, ażeby takowe mogło wywierać jaki wpływ. Co robi Röntgen? Puszcza nowy prąd i otacza rurkę czarną grubą tekturą, która, co jest rzeczą dowiedzioną, nie przepuszcza przez siebie żadnych promieni. Następnie nakrył rurkę zasłoną papierową i w końcu tak szczelnie pozamykał pokój i pozasuwał okiennice, że i najdrobniejszy promień światła dziennego nie mógł przedrzeć się do pokoju. Cóż się stało? Otóż zasłona poczęła błyszczeć, nawet, gdy Röntgen postawił ją dwa metry od rurki, otoczonej, jak powyżej nadmieniliśmy, tekturą nieprzepuszczającą żadnych promieni. Cóż tu mogło wywołać blask? Nic innego, jak jakiś nowy tajemniczy promień, którego dotąd nieznano. Nie dowierzał sobie jednak jeszcze Röntgen. Usunął tekturę a wsadził pomiędzy rurkę a zasłonę grubą oprawną książkę. Nawet i przez tę książkę tajemniczy promień przedostał się. Po książce nastąpiło drzewo, średniej grubości metal, ale przez jedno i drugie promień się przedarł. Jedynie ołów i metal grubszy okazały się silniejszymi od promieni. W końcu włożył rękę pomiędzy rurkę a zasłonę papierową. Części miękkie ręki wychodziły bardzo mdławo, ponieważ promienie przez nie przedzierają się, za to kość występowała jak najwyraźniej. Czysta szyba nie rzuca wcale, albo tylko bardzo słabe światełko a to dla tego, że przepuszcza światło przez siebie. Dziwnem się musi jednakowoż wydawać, że ciemna rurka, w której jest jedynie bardzo słaby stopień powietrza może wydawać promienie. Zkąd się takowe biorą? Czyż tu mamy w istocie do czynienia z promieniami? Musi tak być jednakowoż. Światło jednak a promień to różnica. Światło musi być jasnem, promień może być ciemnym. Gdy stoimy przy ciepłym piecu, czujemy rozchodzące się po ciele ciepło pieca. Te niewidzialne promienie rozchodzą się po niem. Skoro ich nie widzimy, toć one nie są jasnymi, ale ciemnymi promieniami.

Po tych doświadczeniach nie miał profesor Röntgen najmniejszej wątpliwości, że promienie może zastósować i na korzyść fotografii. Usunął więc zasłonę papierową a w to miejsce wsadził płytę fotograficzną i umieścił ją wraz z rurką w pudełku drewnianem. Przysunął rękę i odfotografował ją. Ciało, jak powiedzieliśmy powyżej, uwydatniało się bardzo mdławo, za to wszelkie kostki wystąpiły jak najdobitniej. Tak samo i pierścionek ukazał się bardzo wyraźnie.

Odkrycie prof. Röntgena może oddać, jak już nadmieniliśmy, bardzo wielkie usługi ludzkości, szczególnie zaś lekarzom chirurgom. Pewien robotnik skaleczył sobie przed kilku laty rękę, skutkiem stłuczenia flaszki. Leczono go długi czas na rękę. Palec skaleczony zagoił się co prawda, ale robotnik mimo to nie mógł nim poruszać i dowodził bezustannie, że lekarze musieli w palcu kawał szkła pozostawić. Lekarze jednak nic znaleść nie mogli. Po odkryciu promieni Röntgenowskich odfotografował Dr. Spiess rękę robotnika i pokazało się, że przy jednej z kostek zranionego palca znaleziono kawałek szkła, który wszyscy wyraźnie widzieli. Szkło robotnikowi wyjęto i palec się zagoił.

Fotografie Röntgena mogą zatem z żywych ludzi robić szkielety.

Nietylko bowiem kości u rąk można za pomocą promieni jego zdejmować, ale całą składnią kości u człowieka.

W Wiedniu podjął pewien sławny chirurg operacyą u pewnego pacyenta jedynie na podstawie danych, których mu dostarczyła fotografia Röntgena. Fotografia wskazała dokładnie siedlisko kuli, którą z wszelką łatwością wyjęto. U dziewczynki pewnej wykryto przerastanie drugiego wielkiego palca, a przebieg operacyi był bardzo pomyślny. Gdyby nie fotografia Röntgena lekarze nie wiedzieliby, co dziewczynce brakuje w palcu.

Podobnych wypadków bardzo wiele podały już dzienniki. W uznaniu doniosłości wynalazku nazwano promienie, wynalezione przez Röntgena promieniami Dr. Röntgena a cesarz odznaczył znakomitego uczonego orderem korony drugiej klasy.

WĘGRY.

Węgry, czyli Madziary, jak oni sami siebie nazywają, byli niegdyś, tysiąc lat temu, koczującym narodem.*) Przyciągnęli oni do Europy później od wszystkich innych narodów, zapewne z dalekiej Azyi i zdobyli sobie orężem

*) Koczujące nazywają się te ludy, które nie uprawiają roli, a żyją tylko z chowu bydła; dla odmiany pastwisk muszą się przenosić z okolicy w okolicę, czyli koczować. Ma się rozumieć, że takie życie może być tylko w rozległych krajach małoludnych, jak się ludzi namnoży, muszą się brać do uprawy roli.

na Słowianach i Wołochach piękny i obszerny kraj w którym dziś razem i w pomieszaniu z podbitemi plemionami zamieszkują, a który od krajów polskich, mianowicie od Galicyi przedzielony jest Karpackiemi górami. Wiarę chrześciańską przyjęli Węgrzy w niedługim czasie po Polakach, na początku wieku jedenastego po Chrystusie, wtedy kiedy w Polsce panował król Bolesław Wielki, a na Węgrzech król Stefan, który później za świętego uznany został. Korona tego świętego króla uważa się u Węgrów za największy skarb narodowy i tą koroną wszyscy ich królowie się koronowali; dopóki tej korony nie włożyli, dopóty ich za prawdziwych królów naród nie uznawał.

Przed przyjęciem religii chrześciańskiej byli Węgrzy straszni napastnicy i grabieżce; nikomu dokoła pokoju nie dawali, robiąc wciąż wyprawy na koniach, szczególniej zaś do Niemiec, gdzie wsie i miasta niszczyli po drodze i ogromną zdobycz zabierali; a nim się mieszkańce zdążyli opatrzyć i zgromadzić do odporu, już chyża i zwinna jazda napastnicza do swojego kraju napowrót umykała. Po przyjęciu chrześciaństwa Węgrzy złagodnieli, uspokoili się i we własnym kraju zaczęli się porządkować. Król Stefan mądre im dał prawa. Przez lat pięćset z górą mieli Węgrzy swoich osobnych królów; niektórych wybierali sobie z polskiego rodu, a mianowicie z królewskiej naszej familii Jagiełłów. Jak się Turcy w Europie pokazali i najazdy swoje na chrześcian rozpoczęli, dali się też Węgrom we znaki, choć się Węgrzy zawsze walecznie od nich bronili. Jednak lat temu z górą trzysta, król ich Ludwik, z Jagielońskiego domu, zginął w bitwie z Turkami i większa część kraju węgierskiego od wschodu i południa dostała się pod tureckie panowanie. Obrano tam nowego króla, ale ten już musiał sułtanowi tureckiemu być posłusznym, a po nim już drugiego nie było. W tej zaś części, której Turcy nie zabrali, został królem austryacki książę, ponieważ był szwagrem poległego króla Ludwika. Wszelako przez bardzo długi czas ulegał Turkom kraj węgierski i był polem ciągłych wojen między Turcyą i Austryą; aż wreszcie Austrya powoli przemogła, a zwłaszcza też kiedy jej król polski Jan III dopomógł i sławnie Turków zwyciężył, przyszła do posiadania całych Węgier. Te zaś choć z pod pogańskiej władzy wyszły, ale już osobnem królestwem być przestały; zamieniły się one jakby w prowincyę austryackiego państwa i nie bardzo się z tem dobrze miały. Południowo-wschodnia część węgierskiego kraju, zwana Siedmiogrodem, miała przez ten czas, to jest przez ciąg szesnastego i siedemnastego wieku, udzielnych książąt, którzy lubo uznawali nad sobą zwierzchnictwo Turcyi, a czasami i Austryi, jednak korzystając z ciągłej nieprzyjaźni tych dwóch państw, jako też z górzystego położenia swego kraju, potrafili utrzymywać się w pewnej niezależności, aż do czasu, kiedy, jak się wyżej wypowiedziało, Austrya ostatecznie górę wzięła i całe Węgry z Siedmiogrodem posiadła; chociaż bywały tam groźne przeciwko niej powstania, to przez Turcyę, to przez Francyę popierane. Z książąt Siedmiogrodzkich najznakomitsza była familia Rakoczych; na cześć jednego z nich, głośnego z bohaterskich walk z Austryą, na początku wieku ośmnastego, ułożony został ów piękny marsz Rakoczego, który jest u Węgrów ulubiony, i u nas go tu węgierscy muzykanci często grywali. Jednego też z Siedmiogrodzkich książąt obrali sobie Polacy królem w wieku szesnastym. Był to ów Stefan Batory, dzielny wojownik i mąż wielce uczony. Monarcha ten szczęśliwe wojny prowadził i w Wilnie akademię założył. On też wprowadził do Polski poprawiony kalendarz, którego dotąd używamy.

Węgry, pomimo długowiekowe koleje klęsk wojennych, obcego panowania i wszelkiego rodzaju niedoli, przechowali jednak swoją narodowość i wielce są w niej zamiłowani. Lud to szlachetny, waleczny i godzien współczucia. Główna masa prawdziwej madziarskiej ludności

zamieszkuje tam środek węgierskiego kraju, to jest rozległe równiny po obu brzegach Cissy, i między tą rzeką a Dunajem. Kraj to jest stepowy; wsie ogromne, które na miejscach dawnych obozowisk zdobywczego ludu powstały i do obozów też podobne, bo szeroką, prostą ulicą rozdzielone, chaty w równych odległościach stawiane i zupełnie jednostajne jak namioty. Madziar też pozostał żołnierzem na zdobytej ziemi; choć dziś roli pilnuje i bydło pasie, postawa jego, wąsy pokrętne i buty z ostrogami widocznie pokazują, że jeszcze pamięta dawne wojownicze czasy. Chociaż w życiu osiadłym potrzeba wygód, a nawet zbytki musiały z czasem przekształcić pierwotną prostotę stepowego ludu, chociaż w miastach węgierskich nie brak wielkich gmachów, pałaców i wystawnych sklepów, choć i we wsiach lepsze budynki i różne porządki się upowszechniły, zawsze jednak znać ślady koczowniczego niegdyś bytu i największe nawet miasto czysto węgierskie, Debreczyn nad Cissą, składa się najgłówniej z małych wybielonych domków, jakby się przypominał rozległy obóz z nieprzejrzanemi rzędami namiotów.

Madziary są w ogóle przystojni; wzrostu zwykle nie wysokiego, ale bardzo kształtnie zbudowani, silni i zwinni. Kalectwo i ułomność rzadko się między nimi przytrafiają. Powszechnie są mocni bruneci: cera śniada, włosy czarne i takież oczy. Z charakteru otwarci, dobrzy i czuli, ale draźliwi i do gniewnych uniesień skłonni; z obyczajów szczodrzy i lubiący przy okazyi wystawność i przepych. Znaczna bardzo część węgierskiego narodu przeszła od dawna na kalwińską wiarę; pochodziło to głównie ze wstrętu ku Austryi, która zawsze bardzo niby gorliwie obstawała za katolicką religią, ale zrobiła sobie z tej religii pomoc i narzędzie do uciemiężania podwładnych ludów, prześladując bez miłosierdzia różnowierców, co jest zupełnie przeciwne chrześciańskiemu duchowi, a prawie zawsze bez skutku; bo im kogo bardziej za wiarę prześladują, tem on się jej mocniej trzyma. Tak też i wielu Węgrów przez miłość narodowości swojej i niechęć do Austryi kalwinizmu się trzymali i trzymają.

Wieśniak węgierski wierny jest starym zwyczajom i obyczajom; ma swój kraj za najwyborniejszy i najdoskonalszy na świecie; pracowity bardzo nie jest, gdyż bujna urodzajność ziemi przy niewielkiej ludności, uwalnia go od tych ciężkich wysileń, jakie gdzieindziej muszą ludzie podejmować dla zaopatrzenia swych potrzeb. Stósuje się to zwłaszcza do kmieci osiadłych, mających w ogólności uposażenie od 15-tu do 25-ciu morgów, a w części kraju południowej i najmniej ludnej przeszło po włóce. Pańszczyzna była na w Węgrzech przed 1848 rokiem pospolicie po dwa dni piesze albo po jednym ciągłym; prócz tego wyrąbanie i zwiezienie pewnej ilości drzewa opałowego dla dworu, a ze zbiorów dziewiąty snop dla pana, a dziesiąty dla proboszcza i daniny w drobiu i jajach. Zagrodnicy, mający tylko chałupę i ogród, odrabiali 18 dni pieszych rocznie, a zresztą obowiązani byli do najmu w czasie żniw. Ta część ludności bardzo mało mając, zmuszona też była do większej pracowitości. W południowych Węgrzech, na tłustych ziemiach nad Dunajem i Cissą zagrodnicy głównie uprawiają tytuń w swoich ogrodach; w środkowej części kraju pracują po winnicach, które również dużo ręcznej roboty potrzebują; zaś w północnych stronach, na pochyłości gór Karpackich trudnią się uprawą lnu i konopi. Tu już nie Madziary prawdziwe, ale Słowacy zamieszkują, z którymi Polak może się rozmówić. Żeńska ludność zagrodnicza zarobkuje tutaj z tkactwa. Bielenie płótna, wybijanie oleju z maku i innych roślin także zarobku dostarcza. Wreszcie dla zagrodników Słowaków z północnej części Węgier najgłówniejszym zarobkiem są żniwa w południowych okolicach kraju. Wtedy to liczne kompanie bandosów schodzą z gór na rozległe równiny, gdzie urodzaje obfite a rąk mało i najmują się do żniwa, do koszenia, do młócki. Ci górale i do polskiego kraju na żniwa przychodzą.

Od dawnych czasów było w Węgrzech poddaństwo, które ustało lat temu 85, to jest w roku pańskim 1775, gdzie i tabelle prestacyjne zaprowadzono. Ale przytem zachowano dawny porządek, to jest że jeżeli włościanin czy też zagrodnik wypełniał swoje powinności, to pan nie miał prawa rugować go z osady, chyba aż za wyrokiem sądu komitackiego, (bo Węgry całe dzielą się na komitaty, co jest podobne do naszych powiatów). W roku 1836 wyszło prawo o separacyi gruntów dworskich od gromadzkich i zaczęto urządzać osady.

Aż nareszcie i na sejmie węgierskim który zasiadał w drugiej połowie roku 1847 i aż do wiosny 1848 r., szlachta węgierska ze swej własnej dobrej woli, dla pożytku ogólnego, postanowiła znieść pańszczyznę i wszystkie powinności i odprzedać włościanom osady na własność. Naturalnie że włościanie nie mieliby czem zapłacić odrazu, więc też im ten skup osad rozłożyli na lata, żeby płacąc co rok po niewielkiej części, mógł się z czasem osadnik zupełnie wykupić. Cesarz austryacki zatwierdził te postanowienia w Kwietniu 1848 roku.

Każda wieś węgierska wybiera sobie co rok sołtysa i kilku starszych; obowiązkiem ich rozkład i zbieranie podatków, tudzież porządek i policya. Prócz tego wybiera się pisarz do prowadzenia rachunków i innych piśmiennych spraw gromadzkich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

IGNAŚ.

Opowiadanie z czasów wydalań rodzin polskich z granic Niemiec.

(Ciąg dalszy.)

Dzieci, idąc śladem matki, poczęły się nad nim znęcać. Jedyną przyjazną duszą, jaką w domu posiadał, był pan wójt. Ale ten, zafukany nie mniej od samego Ignasia, nie mógł mu dać skutecznej opieki.

— Oj, pamiętaj kobieto, żeby cię Pan Bóg nie pokarał na twoich dzieciach za krzywdę, jak robisz sierocie — poczynał nieraz, ale tupnięcie nogą i energiczny gest ze strony pani wójtowej znów go przywodziły do milczenia.

Na końcu czwartego tygodnia pani wójtowa oświadczyła, że dłużej przybłędy nie zcierpi w domu. Pan wójt chodził jak zwarzony, ale sam przyszedł do przekonania, że dalszy pobyt Ignasia w jego domu jest w tych warunkach niemożliwy i począł się dla niego oglądać za innem pomieszczeniem.

Był rybak w Kozienicach, znany pod nazwiskiem starego Józefa, który przy protokóle, spisanym z najstarszymi mieszkańcami wsi na życzenie władz pruskich, zeznał, jako ojca nieboszczyka Kuby znał dobrze i był nawet jego kmotrem, bo Kubę podawał mu do chrztu. Chata jego stała na końcu wsi niedaleko rzeki. Stary Józef był zarazem rybakiem i przewoźnikiem i prowadził życie odludne. Wnętrza jego chaty nie widziało oko żadnego z mieszkańców Kozienic, za to czasami późną jeszcze nocą widać było światło w jego oknie i około chaty snuły się jakieś zagadkowe postacie. Z chęcią zgodził się na to rybak i jeszcze tego samego dnia Ignaś przeniósł się na swoję nową kwaterę.

Ignaś odżył w domu starego Józefa. Nie widział gniewnej twarzy pani wójtowej, która go strachem przejmowała, nie słyszał nad sobą jej fukania, nie był narażony na jej szturchańce. Stary rybak, zresztą zamknięty w sobie i milczący jak grób, przywiązał się wkrótce całem sercem do biednego chłopczyny i starał się, ile mógł, uprzyjemnić mu pobyt w swoim domu. Brał go ze sobą do roboty, Ignaś zbierał sobie muszle i różnokolorowe kamyki, bawił się w piasku. Na noc stary Józef układał

go do snu na miękkiem sianie w skrzyni, zbitej umyślnie na to ze starych desek. Ignaś ze swojej strony przywiązał się także do milczącego starca i począł zwolna zapominać o cierpieniach przebytych w domu pani wójtowej. Niestety nowe jego szczęście nie było trwałe. Stary rybak stał u władz w podejrzeniu konszachtów z kontrabandzistami. Odbyta w domu jego rewizya wykryła u niego skład cały przedmiotów zagranicznego pochodzenia, z których posiadania nie mógł się wylegitymować. Zabrano go więc do powiatu, do aresztu. Ignaś znowu pozostał na łasce ludzi.

W Kozienicach nikt się nie znalazł, ktoby sierotę chciał w dom swój przyjąć za darmo. Rada gminna się zebrała i postanowiła ze względu na niepomyślny stan gminnych finansów oddać chłopca za opłatą dwóch rubli miesięcznie na opiekę starej Agacie. Agata była to żebraczka z urodzenia, profesyi i powołania. Ignasia za tę nędzną opłatę przyjęła tylko dla tego, aby za życia mieć w nim pomocnika a po śmierci spadkobiercę sławetnego kunsztu. Ubrała go zatem w brudne łachmany i włócząc dziecko ze sobą po kiermaszach i odpustach, poczęła go z zapałem ćwiczyć w zasadach żebractwa. Zresztą krzywdy mu nie czyniła, bo Ignaś stał się dla niej źródłem niemałych zysków. Wielu znało tragiczną historyą jego życia i sypali grosze z litości dla sieroty. Innych, którzy jej nie znali, uderzała blada, drobna twarzyczka dziecka o złotych włoskach i modrych jak bławatki oczkach. A gdy się z wyrazem zaciekawienia i politowania zatrzymywali przed nim, Agata wymawiała piskliwym głosem:

— Zmiłujcie się wielmożne państwo nad biednym sierotą, któremu wzięli ojca i matkę, on sam chudzina ledwie z życiem uciekł.

A Ignaś drobną rączką trzymał blaszany kubeczek i sypały się weń grosze i kopiejki. Więc Agata umiała ocenić wartość kapitału, jaki posiadała w Ignasiu i obchodziła się z nim po ludzku. Chyba, że była pijana, co jej się regularnie tylko dwa razy na tydzień zdarzało, t. j. w Niedzielę i w Piątek jako dzień targowy. Wtenczas na humor jej nie można było się spuszczać i Ignaś, doświadczeniem nauczony, zazwyczaj uciekał z domu i błąkał się po polu, dopóki albo Agata wytrzeźwiawszy, sama go nie zawołała, albo głód i zimno nie zmusiły go do powrotu.

W wolnych, pozasłużbowych godzinach o Ignasia się nie troszczyła. Więc robił, co chciał, i biegał, gdzie chciał; czasami dni całe nie pokazywał się w chałupie. Owoce tego rozumnego systemu wychowania były widoczne. Wprawdzie zewnętrznie Ignaś nieco zdziczał i gdyby go była mogła widzieć Jędrzejowa, z biedą byłaby go poznała. Albowiem nóżki jego były zazwyczaj bose, łokcie i kolana gołe, włoski nieuczesane spuszczały mu się nieporządnie na czoło, brudny był i obdarty i tylko modre jego oczki zachowały dawny wyraz słodyczy. Ale za to rozwinął się cieleśnie dość dobrze. Bo choć blada, delikatna cera jego twarzyczki nie znikła, urósł widocznie i postać jego przybrała nieco pełniejsze formy. A jeszcze lepiej rozwinął się pod względem umysłowym. Umiał bowiem na pamięć nieomal całą pieśń o bogaczu i Łazarzu, umiał sporo innych pieśni. Spryt poczynał rozwijać niepospolity, dowody jego dawał do zadziwienia, gdy opłotkami z flaszką od Agaty chyłkiem przekradał się do karczmy po wódkę.

Dzieci ze wsi miały z nim swoję uciechę. Skoro go spostrzegły z okrzykiem: »dziadek! dziadek!« jak jaskółki za jastrząbkiem puszczały się za nim w pogoń, rzucały błotem i kamieniami. Ignaś wypłacał im się równą monetą i gdy nadybał które z nich na osobności, o którem przypuszczał, że jest słabszem od niego, wytarmosił je za wszystkich. Raz przy takiej sposobności zrobił nawet dziurę w głowie kamieniem synowi miejscowego kowala. Rozżalony ojciec pobiegł do chaty Agaty i nadybawszy Ignasia przed sienią, tak go zbił paskiem, że chłopiec aż »się zataił« od krzyku. Kowal rzucił Ignasia na pół

martwego pod płotem i poszedł kieliszkiem prostuchy zakropić przebyte wzruszenie. Ignaś, przyszedłszy do siebie, zwlókł się na swoje legowisko, gdzie jęcząc przeleżał dni kilka. Agata pielęgnowała go z troskliwością matki; nie odstępowała od jego łoża, nawet na targ piątkowy nie poszła do miasta. Rachowała w myśli grosze, któreby ją minęły, gdyby chłopiec miał »skarknąć«, niedobór był zbyt wielki, aby go miała przeboleć. Ignaś się wreszcie wylizał ze swych cięgów, ale począł odtąd cierpieć na kurczowe napady. Agata aż się popłakała ze wzruszenia przy pierwszem napadzie. Miała odtąd nowy powód apelować do miłosierdzia przechodzących i z kieszeni ich wyciągać grosze. Pani wójtowa tryumfowała:

— A widzisz! — mawiała do swego małżonka — nie mówiłam, że z takiego dziadowskiego obleciświata nigdy nic porządnego być nie może?

— Oj, bo taj ta wy, baby, wszystko lepiej wiecie od nas — odpowiadał pan wójt i wspomnienie sceny na paliczyńskiej komorze stawało mu jakby głuchy wyrzut sumienia przed oczami i nie mógł od siebie odegnać myśli, że gdyby nie jego uległość dla żony, gdyby nie jego niedołęstwo, nie byłoby przyszło do tego.

Ignaś stał się z czasem w Kozienicach przedmiotem ogólnej niechęci. Mianowicie gdy zgorzała napełnioną zbożem stodoła gospodarza Macieja i głos powszechny jego mianował sprawcą zbrodni, położenie jego znacznie się pogorszyło. W pierwszych czasach, zanim ludność Kozienic ochłonęła w swym gniewie, na ulicy pokazać się nie śmiał, bo już nietylko dzieciaki znęcały się nad nim, ale baby wybiegały z chałup i ciskały zanim miotłami i wiechciami. Ignaś nabierał coraz więcej zwyczajów płoszonego zwierza. Gdy ujrzał postać ludzką, chował się za krzaki i płoty, w jego modrych oczkach malował się przestrach jakiś dziki. I dziczał on w rzeczy samej coraz więcej. Liche łachmany ledwie pokrywały jego nagość, boso i bez czapki włóczył się dniami całymi, żyjąc kradzioną marchwią i rzepą. Szkodnik z niego był znany na całą okolicę.

Było to w jesieni. Rok był w owoc nadzwyczaj obfity, gałęzie literalnie się łamały pod ciężarem swych płodów. W ogrodzie gospodarza Macieja wielka jabłoń tuż przy płocie złociła się cała mnogością owoców. Ignaś obchodził zdaleka, przed Maciejem miał od czasu zgorzenia jego stodoły strach szalony. Ale działo się z nim, co ongi w raju z matką Ewą: im dłużej się wpatrywał w mieniący się złotem i koralem owoc, tem więcej jabłka zdawały się do niego uśmiechać. I jego oczki uśmiechały się do jabłek, ślinka, jak mówią, do ust mu zbiegała. Nie mógł się nareszcie oprzeć pokusie. Z ostróżnością kota, skradającego się pod wróble, na brzuchu podczogał się ku sadowi. Już był na płocie, już jednę nogę przez płot przekładał, kiedy go spostrzegł Maciej.

Zobaczywszy mniemanego sprawcę pożaru, Ignasia, na swoim płocie, Maciej strasznym zapałał gniewem. Wypadł z chałupy, pogroził mu pięścią, krzyknął:

— Poczekaj, ty dziadowski bękarcie, ja cię tu nauczę! — i poskoczył do budy, gdzie na łańcuchu leżał Kruczek.

Kruczek aż zaskomlał z radości, zmiarkowawszy, że ma być spuszczony z łańcucha, i począł skakać panu swojemu na piersi. Łańcuch był zardzewiały, więc trwało niejaką chwilę, nim Maciej zdołał go wyszypłać. Ignaś zyskał zatem na czasie »skulnął się« z płota i począł uciekać jedyną linią odwodową, jaka mu pozostała, pomiędzy zagrodą Macieja a rzeką. Już był kawał ubiegł, gdy trzymając Kruczka za obrożę, wypadł Maciej:

— Huź go ha! — krzyknął chłop i puścił psa.

Pies jak strzała puścił się za Ignasiem i przeciął mu wkrótce jego linię odwrotu. Ignaś gnany strachem, pędził bez pamięci na oczywistą zgubę.

(Dokończenie nastąpi).

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

LATA ŻYCIA LUDZKIEGO.

STARA LEGENDA.

Kiedy Pan Bóg stworzył zwierzęta, a następnie człowieka, rozkazał wszystkim stanąć przed swym tronem, by każdemu stworzeniu naznaczyć sposób i trwanie życia. Najpierwszy z wezwanych przed obliczem Stwórcy stanął człowiek, a Pan rzekł tak do niego:

»Ty, najprzedniejszy z mych tworów, panować będziesz wszystkiemu, co żyje. Używać będziesz owoców pola i poddawać twej woli zwierzęta. Niechaj twój chód będzie prosty, postać twoja szlachetna, a duchem wybiegaj po za granice karmicielki twej, ziemi. Obdarzam cię blaskiem i mocą i naznaczam ci życia lat trzydzieści.«

Wtedy człowiek odrzekł: »Wszechmocny Panie nieba i ziemi! Kiedyś mnie już tak rozmożnił i tak wywyższył nad innych, to użycz mi łaskawie dłuższego życia, by serce moje cieszyło się dłużej wspaniałością tego świata.«

Pan nie odpowiedział nic na to i zawezwał osła przed tron Swój.

»Udziałem twoim będzie praca i mozół, a cnotą twoją cierpliwość i wytrwanie. Od rana do nocy dźwigać będziesz ciężkie brzemiona, a karmić się będziesz ostem i trawą kolącą. Takie jest twoje życie, a trwać ma lat pięćdziesiąt i pięć.«

Wtedy zaszemrał osieł i rzekł: »O panie, mamże to życie pracy i mozołu przez tyle lat mitrężyć? Okaż mi swą łaskę, Wszechmocny, i ujmij mi z życia lat dwadzieścia.«

Natychmiast wystąpił człowiek i zaczął błagać:

»Daj mi, o Panie, dwadzieścia lat, których się osieł odrzeka!«

»Stanie się jako prosisz«, odrzekł Pan.

Potem zjawił się pies przed tronem Najwyższego, a Pan rzekł:

»Poddany twemu panu, wiernie będziesz pilnował domu i mienia. Gdy noc nadejdzie, nie zmrużysz powieki, w podejrzliwości szczekać będziesz na każdy cień, przywiązany jak niewolnik do łańcucha. Takie jest twoje życie, a trwać ma lat czterdzieści.«

»Mamże czterdzieści lat dźwigać to brzemię niewoli! Błagam cię, Wszechmocny, ujmij mi z mego życia lat dwadzieścia!«

Tak rzekł pies, a człowiek znów wystąpił z prośbą o darowanie mu tych lat dwudziestu!«

Pan znowu rzekł: stanie się, jako chcesz.

Teraz stanęła przed tronem boskim małpa, a Pan tak ozwał się do niej:

»Z postaci i chodu najpodobniejszą będziesz do człowieka, ale nigdy nie porównasz się z nim, moim pierwowzorem. Ruchami będziesz naśladowała ludzi, ale dziecinnie i śmiesznie, jakoby ich karykatura. Chodzić będziesz o kiju, na pośmiech dzieci i głupców. A życie twoje niech trwa lat czterdzieści i pięć.

Wtedy zaczęła błagać małpa, by Bóg ujął jej lat dwadzieścia, które człowiek i tym razem uprosił dla siebie.

Bóg znowu rzekł: stanie się wam, jako chcecie.

Otóż tak wszystko się spełnia i do dnia Sądu Ostatecznego spełniać się będzie.

Człowiek, korona stworzenia, do trzydziestego roku życia kroczy z nadzieją i dumą, jak wizerunek Stwórcy. Z wesołą myślą zażywa uciech życia, którego trosk i kłopotów nie zna, a choć je zna, nie odbierają mu młodzieńczej jeszcze otuchy, nie łamią sił jego krzepkich. Panowaniu swemu poddaje zwierzęta, duchem okrąża stworzenie, na skrzydłach wyobraźni szybuje po niebios przestworach. Takim jest człowiek w pierwszych trzydziestu latach swego życia — są to lata ludzkie.

Potem następują poważne obowiązki życia, kłopoty i zgryzoty. Człowiek uznaje konieczność zabezpieczenia drogich jego sercu osób i własnej niedołężnej starości. Twardą jest praca, skąpą nagroda, krótkiem odetchnienie. Ciało zarówno jak duch, uginać się muszą pod ciężarem, wielokrotnie upada pod brzemieniem trosk, bezowocnych mozołów i zawiedzionych nadziei. Tak mija lato życia, czas od lat trzydziestu do pięćdziesięciu — są to lata ośle.

Ale krzątanie się około zdobycia zapasów na przyszłość słabnie w miarę wątlenia sił fizycznych i duchowych, rozwiniętych w latach gorącej z życiem szermierki. Człowiek dopiął niejednego celu, pozornie zabezpieczył swe jutro. Reszta żywota powinna mu teraz spłynąć na spokojnem używaniu tego co zebrał — ale znikła tymczasem bezkłopotliwa młodość, troska stała się nawyknieniem, a przedmiot jej tylko się zmienił. Hasłem i zadaniem życia staje się odtąd zachowanie zapasu zdobytego krwawym czoła potem. Człowiek uczuwa ciężar wieku, a z nim ustępowanie sił swoich. Nie zdając sobie jasno sprawy, przekonany jest, iż nie potrafiłby już walczyć tak pomyślnie, gdyby zawistny los, lub dłoń złowroga, pozbawiły go owoców jego pracy. Poświadczenie to przejmuje go podejrzeniem i obawą. Cień go niepokoi, troska o mienie ze snu go wyrywa, wciska się w jego marzenia, tłumi niewinnej radości wylewy i ufną miłość bliźniego. Nie jestżeto prawdziwa obroża? — Zaprawdę, to psie lata!

Atoli w miarę zbliżania się do zgrzybiałości i słabnienia sił wszystkich, ustępują stopniowo owe troski; aż wreszcie nikną zupełnie. Wyzuty z wszelkich poważnych obowiązków,

niezdolny już walczyć i piąć się, człowiek pozostawia wszystko siłom młodszym, sam zaś żyje jak dziecko — teraźniejszością. Zdarza się przeto, że niejedno, co innem wydaje się ważnem i pełnem znaczenia, traci dla niego wartość i zajęcie i rad zajmuje się tem, co innem wydać się może błahem. Sędziwy starzec nie ma przed sobą przyszłości, obecność jest wszystkiem dla niego, a widnokrąg przeszłości przesuwa się w jego umyśle, nie zdolnym oznaczyć ściśle lat granicy. Niejeden też błąd przemknie przez usta gadatliwej starości, a dzieci i głupcy szydzą z postępującego ostrożnie o kiju, zgarbionego inwalida — cienia człowieka.

Są to lata małpie.

Instynkt.

Co jest instynkt? Jednem z najcudowniejszych i najwięcej interesujących zjawisk natury jest instynkt zwierząt. Przesadą jednak jest, że niektórzy stawiają instynkt zwierząt wyżej aniżeli rozum człowieczy. Człowiek zawsze i we wszystkiem stoi pomiędzy stworzeniami na pierwszem miejscu.

Instynktem nazywamy tę władzę u żyjących istót, która ich pobudza do tego, aby działały odpowiednio do celu, nie wiedząc dla czego tak działają.

Pająk biały wyszukuje sobie białe lub jasno-żółte kwiaty, i tam rozciąga swe sieci, sam się cofa i siedzi na białem kwieciu, czekając na zdobycz. Pająk biały używa tu środków bardzo odpowiednich do celu. Gdyby będąc biały usiadł na czarnym płocie, ciemnym kwiecie, zielonych liściach, toby go muszki wnet spostrzegły i nieszłyby w sieci pajęcze. Czy można postępowanie pająka nazwać mądrem? Czy pająk wie, że biały jego kolor uwydatnia się na ciemnym tle i wpada w oczy? Z pewnością że nie. A jeżeli tego nie wie, to pająk nie działa mądrze, nie ma tu siły ducha, skutkiem której wybiera liście białe i jasne. To się pokazuje już z tego, że młode, niedoświadczone białe pająki tak samo postępują jak stare. — Czemu jednak pająk używa środków do celu prowadzących? Na to nie ma innej odpowiedzi jak ta, że Stwórca dał stworzeniu władzę z naturą jego połączoną, przez którą działa bezwiednie odpowiednio do celu. Tę władzą przyrodzoną, naturalną nazywamy instynktem. Czy też rośliny i ludzie mają instynkt?

O ile instynkt jest ruchem bezwiednym prowadzącym odpowiednią drogą do celu, o tyle i rośliny mają pewien instynkt. Korzenie rośliny rosną w tę stronę, w której znajdują najlepsze dla siebie wyżywienie, liście rośliny skłaniają się w tę stronę, w której znajdują światło potrzebne im do życia. Roślina wie o tem, dla czego tak działa jeszcze mniej aniżeli zwierzę, bo wcale nie wie o tem, że istnieje. Roślina nawet się broni jak zwierzę kiedy ją człowiek chce zniszczyć. Ruchy jakie robi roślina np. w kwieciu są bardzo cudowne, roślina rośnie bardzo odpowiednio do celu, aby wydała owoc, lecz jeszcze mniej wie o tem, dla czego tak działa aniżeli zwierzę. — Ponieważ jednak jest różnica pomiędzy instynktem u zwierzęcia a instynktem u rośliny, dla tego zwykle mówi się tylko o instynkcie u zwierząt

Czy człowiek też ma instynkt? Z pewnością, ponieważ człowiek działa też bardzo odpowiednio do celu, niewiedząc czemu tak działa. Dziecko nowonarodzone umie ssać lepiej, aniżeliby to wymyślić mógł człowiek dorosły. Dziecko jednak nie wie dla czego tak działa, nie wie nawet że tak działa. We śnie człowiek porusza się mądrze, odpowiednio do celu, kiedy leżał długo na jednej stronie, przewraca się na drugą bezwiednie, jeżeli z jednej strony zeziąbł odwraca się na drugą, aby się rozgrzać. Na jawie też człowiek wypełnia tysiąc rzeczy dobrze bezwiednie. Przy chodzeniu n. p. człowiek stawia tak nogi jak tego potrzeba nie myśląc o tem, nie wiedząc o tem, nieuczony tak dobrze chodzi jak uczony, który napisał całą księgę o prawach chodzenia. Bardzo wiele rzeczy człowiek czyni instynktownie, zamyka oczy, wznosi rękę w niebezpieczeństwie i t. d.

Praktyczne rady.

— **Ażeby uniknąć** w późniejszych latach kurczu w palcach, którego nabawiają się zazwyczaj ci, którzy dużo piszą, należy używać przy pisaniu trzonków grubych i zmieniać takowe od czasu do czasu. Dobrze jest używać trzonków rozmaitej grubości, bo przez to zmienia się układ muskułów, tak że takowe tak szybko nie zesłabną. Unikać zaś należy trzonków cienkich, zwłaszcza gładkich, metalowych. Niejeden używanie cienkiego trzonka pożałował w późniejszych latach.

— **Jabłka.** Nie ma może pożyteczniejszego środka spożywczego od jabłka. Jabłko strawi się w ciągu półtorej godziny, podczas gdy gotowane rodzaje kapusty wymagają strawności pięciu godzin. Po jakiejkolwiek potrawie najzdrowiej przegryść jabłko, czy gotowane, czy surowe. Gdy masz utrudniony stolec, gdy przechodzi po twym ciele od czasu do czasu rodzaj febry, gdy chcesz krew przeczyścić używaj jabłko. Dawajcie dzieciom w miejsce licznych cukierków i słodyczy lepiej jabłka do jedzenia a przysłużycie się im w ten sposób stokroć więcej.

— **Ażeby mieć** wyborne miękkie jaja gotuje się podobno w ten

sposób, że się je wkłada do ogrzanego głębokiego garnka, zlewa wrzącą wodą do tyla, ażeby nią były zupełnie nakryte, następnie dobrze nakrywa i odstawia na miejsce chłodne. Po upływie kwadransa są jaja ugotowane, białko i żółtko tak foremnie, że miło na nie patrzeć, a milej jeszcze spożywać.

— **Jak czyścić białe rękawiczki glancowane bez bencyny.** Rozpuszcza się mydło w gorącem mleku. Nie jest koniecznem, ale lepiej, gdy się wbije doń białko jaja i ubije na pianę. Do tego wszystkiego dodać należy parę kropel salmiaku. Rękawiczki wciąga się następnie na rękę i wyciera płatkiem wełnianym. Ażeby skórka pozostała miękką, wywiesza się rękawiczki w cień, ażeby dobrze wyschły.



Rozmaitości.

* **Żarłoczność kozy** jest powszechnie znaną. Nietylko, że może rozmaitości zjadać, ale zdoła wszystko strawić. Zajada z szczególnym apetytem resztki cygar, rośliny trujące, jak szalej, świnię wesz, zajęczą rzepkę, wilcze łyko, a nic jej nie zaszkodzi. Pewien uczony chciał stwierdzić, czy koza i morfium, to jest najniebezpieczniejszy środek usypiający, zniesie. Młodej kózce zastrzyknięto w przeciągu czterech godzin 8 gramów morfium! nie zasnęła, okazywała się jedynie nieco wzburzoną. Wyrosłej kozie zastrzyknięto 8½ grama morfiny w ciągu 2½ godzin; i ona okazała się jedynie nieco wzburzoną; chciano tę kozę zabić i zastrzyknięto jej dla tego olbrzymią obfitość morfiny, bo 19½ grama w ciągu trzech godzin. Koza po tem nieco ciężko oddychała, ale wcale nie była ogłuszoną; z apetytem spożyła daną jej paszę, a po dziewięciu godzinach znaleziono ją w chlewiku w najlepszym stanie. — Ażeby niejeden zdołał pojąć tę wytrzymałość, nadmieniamy, że człowiek przeciętny, ważący 65 kilogramów uśnie przy dwugramowej dawce morfiny. Owa koza w stósunku do wagi ciała zniosła dawkę morfiny 1000 razy większą, a nie usnęła. Ilością morfiny, kozom zastrzykniętą możnaby uśpić 400, 425 i 975 ludzi.

* **Piwo nie służy zdrowiu** Piwosze nałogowi, który bez piwa się obyć nie mogą podobnie jak ludzie bez chleba, mają nadzwyczaj wątłą muskulaturę, tracą żywość ruchów i energią, obciążają żołądek i wnętrzności, tracą apetyt i utrudniają sobie trawienie. Tacy ludzie z wielką trudnością ponoszą trudy i niewygody podróży, marszów i t. d. Wiecznie zaś uczuwają pragnienie.

* **Dochody monarchów.** Dziennie pobierają: car rosyjski 120,000, sułtan 80,000, cesarz austryacki 50,000, cesarz niemiecki 40,000, król włoski 32,000, król belgijski 8,000, prezydent francuzki 3,000, prezydent stanów zjednoczonych Ameryki 700 marek.

* **Amerykański** pociąg przebiega na godzinę 75 kilometrów, a więc 10 mil. Podobną przestrzeń przebiegają także angielskie pociągi pocztowe. Konkurencya jednak czasów teraźniejszych doprowadziła już do tego, że pociągi pospieszne idące z Londynu do Aberdeen w Szkocyi przebiegają na godzinę 105 kilometrów, a więc 14 mil. W Niemczech rzadko który pociąg przebiega w przecięciu więcej jak 60 kilometrów na godzinę. Jedynie pomiędzy Berlinem a Hamburgiem odkłada pociąg pospieszny w przecięciu 83 kilometry na godzinę.

* **W Niemczech,** w Anglii i Włoszech nie otrzymują posłowie żadnego wynagrodzenia. W Francyi otrzymują senatorzy i posłowie 9000 franków (1 frank liczy 80 fen.) rocznie. Poseł w Holandyi otrzymuje 3,320 marek i koszta podróży, belgijski 320 mk. miesięcznie wśród posiedzeń parlamentarnych, portugalski 10 m. dziennie; w Brazylii otrzymuje senator 7200 marek podczas posiedzeń parlamentu, a poseł 2,800 marek i wynagrodzenie podróży, w Meksyku otrzymują posłowie 2000 dolarów na rok, w Argentynie 14,000 marek, w Stanach Zjednoczonych Ameryki 20,000.

* **Zwykły karp** znosi rocznie 300 do 700 tysięcy jajek, sum przeszłe 17,000 miętus 20 do 30 milionów, stokfisz 2 do 3 mil. łupacz 200 do 300 tysięcy, flądra pół do póltora mil., śledź 30 do 60 tysięcy. Nie potrzebujemy obawiać się zatem, ażeby nam kiedyś ryb przybrakło.

* **Dzwon w tumie Kolońskim** waży 26,250 kilogramów, w Kyoto w Japonii 63,000 kilogramów, dzwon żelazny w stółecznem mieście Chin, Peking, waży 65 tysięcy kilogramów. Najpotężniejszym dzwonem na świecie jest jednak dzwon carski w Moskwie, ważący 200 tysięcy kilogramów. Ile waży nasz „Zygmunt“ krakowski, tego na razie powiedzieć nie umiemy.

* **Kiedy rosną dzieci najszybciej?** Rozmaicie o tem sądzą matki. Jedne twierdzą, że latem, drugie zimą, inne znowu, że długa choroba najkorzystniej wpływają na wzrost ciała. Niejaki dr. Schmidt stwierdził, że zmiany powietrza najkorzystniej wpływają na rozwój fizyczny. W pierwszej połowie roku nie przybierają dzieci do 13 roku życia prawie nic na wadze. Miesiące lipiec do stycznia są pod tym względem najkorzystniejsze. Wakacye szkólne nie wywierają na dzieci wielkiego wpływu pod względem wzrostu; dziewczętom ubiera nawet szkoła wagi cielesnej. Choroby wstrzymują po większej części rozwój ciała nietylko co do wzrostu ale i wagi. Najwięcej chorób przypada na miesiące w czasie zimy i początku wiosny. Najzdrowotniejszą porą roku ma być podobno jesień.

* **W Ameryce** odkryto zasypane miasto i to w prowincyi Chile w pobliżu stołecznego miasta Santiago. Wybuch wulkanu, który w pobliżu się znajduje spowodował zniknięcie jego. Miasto niedawno odkryto w głębokości czternastu do piętnastu stóp. Znajdują się tam bardzo ciekawe przedmioty z czasów, gdy jeszcze nic nie wiedziano o Ameryce, które mają więc dla nauki nieocenioną wartość. Znajdują się

tam najrozmaitsze sprzęty domowe, nadzwyczaj foremne przedmioty z gliny i szkła, broń, narzędzia rzemieślnicze, jak młotki, dłutka, noże, dalej bożyszcza, wykute w kamieniu, a nawet naszyjniki kobiece z szkła ślifowanego. Pełno się też tam także prawdziwych pereł i turkusów znajdowało. Wszystkie szkielety ludzkie, napotkane w ruinach, miały długości przeszło 6 stóp.

* **Kiszka** z grochu obchodziła w zeszłym roku 25-letni jubileusz istnienia swego. Wynalazł ją kucharz Grünberg na początku francuzkiej wojny Państwo niemieckie zakupiło wynalazek za 35 tysięcy talarów. Przeszło 200 rzeźników i kilkaset robotników z tyluż kucharzami pracowało codziennie od rana do wieczora nad wyrabianiem tej kiszki, ażeby odstawiać 100 tysięcy sztuk.

* **Co zdoła pomieścić okręt?** Niejeden nie ma nawet w przybliżeniu pojęcia o tem, co w sobie okręt pomieścić może. Oto olbrzymi parowiec »Georgia« wiózł ze sobą z Nowego Jorku do Liwerpolu: 750 wołów i krów, 9000 owiec, 3000 ćwiartek wołowiny, 136 tysięcy buszli (buszel-35 litrów) pszenicy, 90 tysięcy buszli żyta, 350 pak bawełny, 2000 miechów mąki, 1800 miechów makuchów, 35 tysięcy naczyń z peklowiną, 9000 pak okrasy, 3500 beczułek żywicy, 1000 beczek z mięsem w puszkach, 300 pak mydła, 400 pak wosku, 300 beczułek ekstraktu wołowego, 1000 beczułek oliwy do smarowania, 100 ton drzewa, 3000 pak wapna, 10 tysięcy pak towarów bednarskich i innych jeszcze drobniejszych przedmiotów.

* **W którym kraju owce służą za zwierzęta pociągowe.** W Indyach północnych owce są używane za zwierzęta pociągowe. Górskie drogi i ścieszki w Himalajach są tak strome, że żadne inne zwierzę, prócz owcy, nie mogłoby się na nie wedrzeć. Ładunek każdej owcy wynosi od 16 do 20 funtów. Przechodząc przez wieś, pastuch strzyże owce w miarę żądania i sprzedawszy wełnę w zamian za zboże, worki z niem kładzie na grzbiet zwierzęcia. Skoro całe stado zostanie ostrzyżone, wtedy dopiero wraca do domu.

* **Pewien młody** Francuz założył się, że w przeciągu trzech lat wyuczy się dokładnie dwunastu różnych języków. Egzamin publiczny odbędzie się 15 Lipca 1898 r. Między innemi wyuczy się ów Francuz języka polskiego.

* **Zmarły niedawno** temu Mikołaj Sawin, weteran z czasów wojen napoleonskich, liczył w dniu śmierci 127 lat. Podczas przeprawy Napoleona przez Berezynę miał już lat 44. Sawin był od młodości nadzwyczaj wstrzemięźliwym i tej okoliczności przypisują jego znajomi dojście do tak sędziwego wieku.

ŻARTY.

Grzeczniutki.

Rozgniewany ojciec do swawolnych dzieci, 8-mio letniego Kazia i młodszych jeszcze dwóch córeczek:

— No, z wami to już wytrzymać nie można. Ciągłe psoty.... No, które mam wpierw ukarać?

Kazio: Plosie papy... panie mają pielwszeństwo.

W więzieniu.

Dozórca: Za co dostałeś się do więzienia?

Złodziej: Za przeszkadzanie w nabożeństwie.

Dozórca: Co? przecież za to nie dostałeś się do stanowego więzienia.

Złodziej: O tak, bo podczas kazania „pracowałem“ przy skarbonce

Niesprawiedliwy świat.

Oberżysta: Jak stoi w gazecie, to pewien profesor w Ameryce obliczył wagę much. Na jeden funt idzie ich 48,000 sztuk. A tu świat taki niesprawiedliwy! Ile to goście narobią hałasu, jeżeli w restauracyi na bewsztyku lub kotlecie chociaż dwie drobne muszki znajdą!

— Janie! (mówi pani do lokaja), mówisz, że ci spirytus potrzebny do czyszczenia zwierciadła, a ty go pijesz.

— Wielmożna pani nie rozumie tego dobrze. Spirytus za silny, zaszkodziłby zwierciadłu, ja więc wypijam, a potem chucham na zwierciadło.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.